



Mirosław Derecki

PAN NA PEWNO NIE WIE, ŻE WŁAŚNIE LUBLIN JEST STOLICĄ SZMIRY PLASTYCZNEJ

Mój rozmówca, agent firmy trudniącej się wyrobem i sprzedażą obrazów i makatek, tymi słowami zaczął wprowadzać mnie w świat dziwnej sztuki.

Kilka miesięcy temu w prasie pojawiły się pierwsze artykuły na temat jeleni. „Dookoła Świata”, „Przyjaciółka” i inne pisma rozpoczęły kampanię przeciwko szmirze plastycznej. Reakcja była błyskawiczna.

Nie tyle ze strony odbiorców tego rodzaju „sztuki”, którzy obłudnie zapewniają, że „tak, istotnie, błędziliśmy, ale teraz jelenie już nam się nie podobają”, ile ze strony producentów którzy nabrali wody w usta.

Dzisiaj nie można podejść do pierwszego lepszego rynkowego artysty i zagadnąć. „Może mi pan powie coś o sobie, jak pan maluje, mnie bardzo interesują malarze- amatorzy”. Trzeba długo i ostrożnie szukać kontaktów przez osoby trzecie, często poprzestając tylko na ich relacjach. Działają tutaj różne czynniki, które skłaniają ludzi do milczenia. Strach przed Urzędem Skarbowym, obawa utraty intratnej posady, wreszcie wstyd.

Z braku wyrobienia artystycznego mieszkańców miasteczek i wsi korzystają byli malarze pokojowi, mechanicy, urzędnicy, ba, nawet absolwenci wyższych uczelni plastycznych. W przytłaczającej większości nie mają oni minimalnych zdolności artystycznych. Rekompensują je zresztą ogromnymi zdolnościami handlowymi.

„Wytwórców” tej sztuki można by z grubsza podzielić na trzy kategorie: Pierwsi doskonale wiedzą, że to co robią jest szmirą, ale dają im to duże dochody. Ci często nawet kpią z nabywców własnych „dzieł”.

Inni, którzy twierdząc oficjalnie, że produkują szmirę tylko dla pieniędzy, nie przyznają się, że właściwie ten rodzaj sztuki im się podoba.

Wreszcie ci, którzy są na tyle uczciwi, że uważając się za artystów z prawdziwego zdarzenia, nie kryją się z tym.

Myślę, że pierwsza grupa jest najliczniejsza.

Na terenie samego Lublina działa 60 - 80 firm zajmujących się produkcją obrazów, makatek i portretów. Dokładnej ilości nie można ustalić, gdyż nie wszystkie są

zarejestrowane w urzędzie podatkowym. Poza tym nie wszystkie działające na terenie miasta wytwórnice są zarejestrowane w Lublinie. Zdarza się, że na pieczętce figuruje adres fikcyjny. Przykładowo: Koszalin ul. 1 Maja X, a tymczasem firma mieści się w Lublinie przy ul. Bramowej Y.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że „firmowcy” objęli w swoje posiadanie dwa przeciwległe krańce Lublina. Dzielnice: Dziesiąta i Sławinek. Pewnie dla utrzymania równowagi. W centrum miasta psuje szyki sklep „Plastyka”.

Głową „firmy” jest oczywiście „szef” albo inaczej „firmowiec”. On też jest z reguły głównym wykonawcą arcydzieł. „Towar” rozprowadzają „agenci” albo „rekwizytorzy”. Często zdarza się, że oprócz zarejestrowanych zakład posiada kilku albo nawet kilkunastu „dzikich” agentów.

Przez całą długość pokoju przeciągnięty jest pas najtańszej flaneli albo pluszu. Na to kładzie się odpowiedni szablon wycięty z tektury. Później idą farby.

Szablon przykłada się w następane miejsce. I tak od drzwi do okna... Albo na odwrót. To już zależy od techniki, jaką sobie wykonawca wypracował. Wreszcie materiał tnie się na „znormalizowane” kawałki i makaty (często dla nadania im wyższej rangi artystycznej nazywane „dywanami”) są prawie gotowe. Szczegóły, wyciąga się pędzelkiem.

Wieczorem ten sam pokój może służyć jako atelier malarsko-fotograficzne, w którym produkuje się inny rodzaj „sztuki”- obrazy.

Obrazy powstają także szablonowo. Tylko że w tym wypadku szablon nazywany jest „tematem”. „Temat” jest obrazkiem o ustalonej treści, z którego sporządza się kolorowane fotokopie. Od wymiarów pocztówkowych, do zajmujących połowę ściany.

Zorientowani twierdzą, że w całej Polsce „robi się” dziesięć takich samych, ustalonych tematów. Między innymi są to: „Święta Rodzina”, „Anioł przeprowadzający dzieci przez kładkę”, „Chrystus w Ogrójcu”, „Sen rusalki”, „Jeleń”, „Polowanie”. Jak widać, duże zróżnicowanie treściowe.

Obrazy są o wiele bardziej pracołonne od makatek. Poza samym wykonaniem dochodzi tutaj oprawienie w złote ramy. Szkło nie tylko z przodu ale i z tyłu - żeby aż tak solidne wykonanie silniej przemawiało do nabywcy, gdyby broń Boże miał jakąś wątpliwość co do wartości artystycznej oferowanego towaru.

Dlatego i cena jest wyższa od ceny makatek. Dochodzi do 1200 zł. Cena makatek waha się od 250 do 350-450 złotych.

„Rekwizytor” nie otrzymuje diet ani zwrotu kosztów podróży. Przeważnie nie dostaje także żadnej stałej pensji. Jest niejako „firmowcem drugiego stopnia”. Otrzymuje czterdzieści procent zysku. Może też kupić od szefa pewną ilość np. makatek, prawie po cenie kosztów

własnych (ok. 120 zł) i sprzedawać je na własną rękę.

Rekwizytorzy to artyści w swoim rodzaju. Jeżeli nie oferowane przez nich dzieła, to przynajmniej metody sprzedaży, należy zaliczyć do dziedziny prawdziwej sztuki.

Rekwizytor podczas zbierania zamówień na „towa” nie tylko nie żąda, ale wprost nie chce pieniędzy. „No, zresztą przyjmę ostatecznie te marne parę groszy, te głupie sto złotych, a resztę zapłaci Pan kiedyś, ratami. Naszej firmie nie zależy na forsie”. A później przychodzi przesyłka pocztowa i nakaz płatniczy.

„Nikommu nie trzeba proponować sprzedaży, chłop musi pierwszy wyrazić chęć kupna. Nabycie towaru musi być dla niego zwycięstwem po długich pertraktacjach ze sprzedawcą” – tłumaczył mi pewien agent (oczywiście jest to tylko jedna z wielu metod).

„Pewnego dnia jeszcze przed wojną, przychodzimy do wsi. Wstępujemy do jednego z domów. Obejście niebogate. Mieliśmy ze sobą kilka obrazów o treści religijnej. – „Czy można przenocować, odbiliśmy się od pielgrzymki, idziemy z Częstochowy”.

Nazwa miasta podziałała błyskawicznie. Od razu wzbudzamy zaufanie. Nie tylko godzą się na udzielenie noclegu, ale jeszcze zapraszają na kolację. - „I co tam słyhać w świecie?” Ale rozmowa nie klei się. Wobec tego trzeba iść spać. Klękamy przed naszą paczką z obrazami i zaczynamy się głośno modlić. Budzi to zaciekawienie - „A co tam macie, pokażcie...” Ostatecznie zgadzamy się, ale najpierw wszyscy muszą umyć dokładnie ręce,- „Widzicie, tam są święte obrazy, świętymi olejami namaszczone, z samej Częstochowy do naszej parafii je niesiemy”. Święte oleje, Częstochowa - magiczne nazwy. Jeśli do tego dochodzi tak niesłychana czynność jak mycie rąk, odpowiednia atmosfera zostaje wytworzona.

Z nabożeństwem rozpakowujemy paczkę - „A po ile te obrazy?” - „Bez świętych olei po 50 zł, ze świętymi olejami po 150” - „A może byście sprzedali z jeden obrazek?” Ale my jesteśmy nieugięci. Za nic! To dla parafii! Jednak po długich namowach miękniemy, interes zostaje ubity.

Panie, to były czasy! Teraz na wsi mają gazety, słuchają radia, teraz trzeba naprawdę dobrze ruszyć głową, żeby coś zarobić” - zakończył smętnie mój rozmówca.

Na ścianie hali targowej na Podzamczu, między rozwieszonymi łachami i kufajkami, nędzną imitacją warszawskich ciuchów, barwna plama. Autentyczny „Jeleń”. Podchodzę bliżej. Niestety, to tylko fotokopia.

„Pan sobie życzy...?” stawia sakramentalne pytanie gruba baba.

„Niegłupi obrazek” - zagajam.

„Głupi nie głupi” - mówi baba - „Kolor się liczy - o! Da Pan 300 zł, to będzie Pana... Zresztą, to nie „to”! Dla Pana miałabym coś lepszego. W domu to ja mam rzecz!” Zniża głos do szeptu - „prawdziwego Kossaka!” - mówi tajemniczo.

- „Kossak nie jest zły” odzywa się stojąca obok przekupka - „ale poszedłby Pan na 1 Maja do zakładu szklarskiego... Jezusik jak żywy!”

- „Ychy!” - potakuje z zachwytem gruba. Nagle zmienia front

- „Tu Panie, dla tych paru groszy człowiek musi zachwalać było jaki towar. Aż wstyd. Ale ten Kossak!

I nie pędzłem robione, tylko szpachelką!”

Niestety nie miałem szczęścia rozmawiać z „prawdziwymi artystami”. Tymi którzy nie malują przez szablon. Jest ich zresztą coraz mniej. Jeżeli malują, to przeważnie tylko dla siebie. Na sprzedaż nie opłaca się.

Tak sprawa wygląda, jeżeli chodzi o prywaciarzy. Żeby obejrzeć szmirę produkowaną przez przemysł państwowy, wystarczy pójść do pierwszego lepszego sklepu z upominkami.

Albo inny przykład:

Fabryka Jedwabiu i Dywanów w Kaliszu (przemysł kluczowy) produkuje estetyczne nowoczesne dywany. Jednocześnie, ta sama fabryka wytwarza wielce interesujące pluszowe makatki. Na jednych jest tylko jeleń na rykowisku, na drugich zamek na wzgórzu, niżej - jezioro z łabędziami, las - w lesie dziewczynka zbierająca grzybki itd. O kolorach lepiej nie wspominać. Cena - tylko 400 zł.

Na upartego, można by twierdzić, że przemysł stosuje tutaj pewną specyficzną politykę: - „Produkując szmirę obniżamy jej ceny. Zdobywamy klienta - prywatna inicjatywa bankrutuje. Wtedy tylko my jesteśmy jedynymi producentami szmiry. Wtedy tylko my przestajemy nagle produkować szmirę...”

W ciągu miesiąca, w „Plastyce”, sprzedaje się około dziesięciu obrazów współczesnych malarzy lubelskich. W ciągu jednego dnia, jedna „firma” niewiele mniej - własnych.

We wstępie użyłem określenia „dziwna sztuka...” Nie ta „sztuka” nie jest „dziwna”, ona jest chyba w pewnym sensie raczej „godna podziwu...”